

Lidia Stefek

STRACHY



LIDIA STEFEK

S

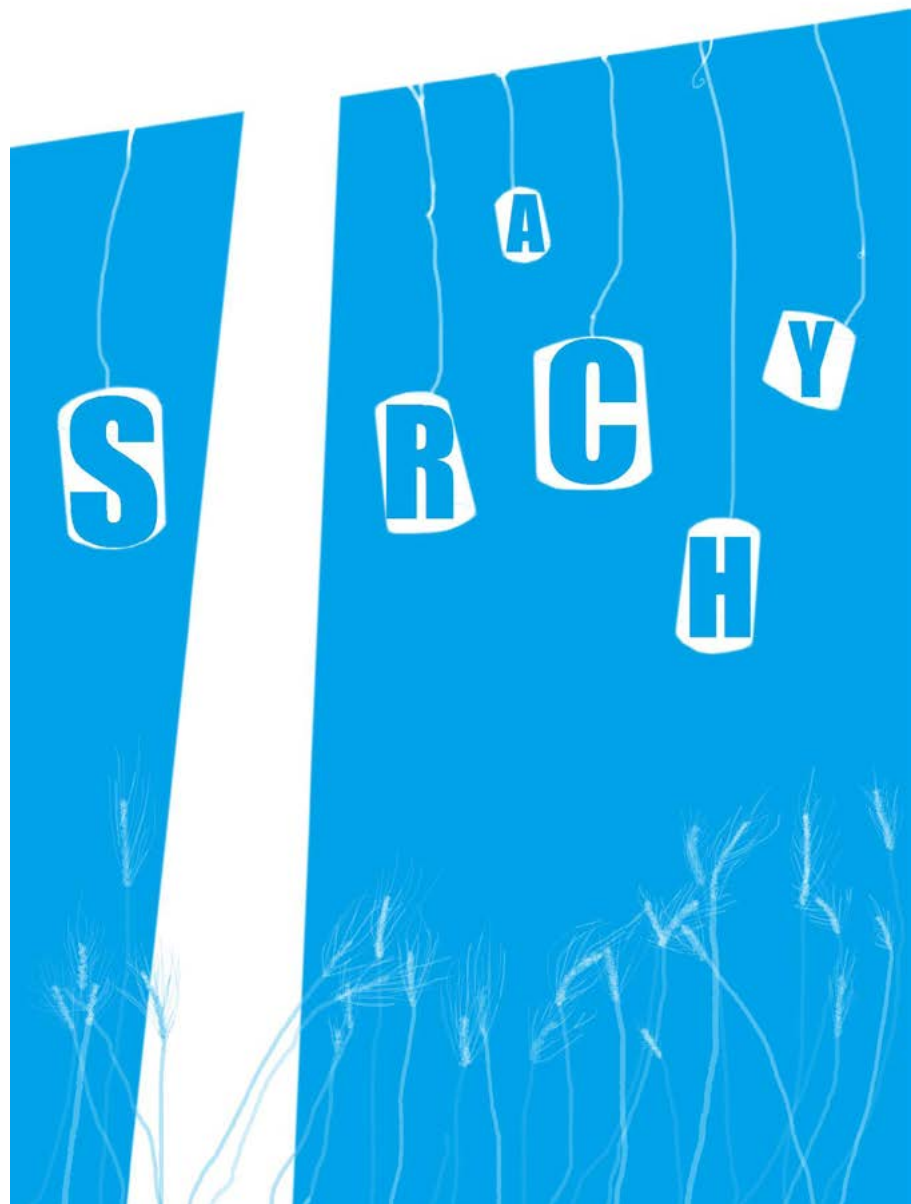
R

C

H

A

Y



© Copyright by

Lidia Stefek & e-bookowo

Projekt strony tytułowej: Jagoda Stefek

Zdjęcie na okładce: Marta Paśnik

Szkice i rysunki: Maria Wisińska

Zdjęcia: Lidia i Adam Stefek

Korekta: Olimpia Orządała

Redakcja: Katarzyna Krzan

ISBN e-book 978-83-7859-742-1

ISBN druk 978-83-7859-743-8

Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo

www.e-bookowo.pl

Kontakt: wydawnictwo@e-bookowo.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości

bez zgody wydawcy zabronione

Wydanie I 2016

*Najdroższym osobom w moim życiu
- Jagódce, Remikowi i Adasiowi.*

*„A ona rzekła do nich: Nie nazywajcie mnie Noemi,
nazywajcie mnie Mara, gdyż Wszechmogący napoił
mnie wielką gorczyczą” – Księga Rut 1, 20*

Biblia, Brytyjskie i Zagraniczne Towarzystwo Biblijne,
Warszawa 1991

WSTĘP

Normalnie w ciemności nie widać ludzi. Tylko co jeśli oni są światłością? Jeśli bije od nich blask dziwnej świetlanej radości. Takiej, która każe wymieniać uśmiechy przed śmiercią, cieszyć się ze zwycięstwa bliskiej, nieuniknionej porażki, widzieć szeroki tunel do nieba, zamiast badać niewielką szczelinę jasności w dziurze po kafkach piecowych. Strach to nie jest dobre słowo. Lepszym jest obawa, że żadnemu ze Szkopów nie zrzędzie mina. Jak tylko odsuną kafki i włamie się do piwnicy więcej światła, wtedy szybko zostaną porażeni mocą zamiarów ludzi spod ciemnej gwiazdy.

Kobieta leżała na udach człowieka, który głaskał ją ze szczerym oddaniem jedną dłonią, a drugą grzebał we wypchanej kieszeni.

– Chyba wczoraj jechałam na biało-niebieskim rowerze. Tym co, wiesz, malowałeś dla warszawianki. Zapomniałeś o jednym detalu.

– Przecież ty nie umiesz jeździć na rowerze, prawda? Nigdy nawet nie próbowałaś. – Mężczyzna użył wtedy tylko niebieskiej farby. Stąd między innymi wiedział, że bredzi.

Ona jednak kontynuowała swoje majaczenie.

– Jechałam przez getto. Zatrzymał mnie strażnik. Przebił opony, powyrywał źle umocowane pedały i zapytał dlaczego jednośląd nie jest żółty i nie ma na nim znaku Dawida. Przecież nie mogłam powiedzieć, że jesteś Polakiem! Że wtedy nikt jeszcze nie wiedział o tej wielkiej nienawiści. Znakować

niearyjskie rowery! – powiedziała to tak jakby nie liczyła się już z żadnym nakazem nazistów.

– Już dobrze, będzie lepiej – uspokajał ją bez przekonania, bo sam był bardziej zaniepokojony. Ta jej pokazowa jazda na rowerze mogłaby sprowadzić na nich wcześniej nieszczęście, ale dalej podtrzymywał, że wymyśliła to z racji dodania sobie animuszu.

– Nie chciałam, ale powłóczyłam kołami, aż dotarłam do bunkra. Nogi prowadziły mnie ochoczo. O mało nie wpadłam na samochód Karla.

Dobryszy przedmiot z kieszeni, nachylił się nad swoją ukochaną, sprawdzając czy aby nie przysnęła. Temat roweru zostawił na kiedyś tam. Próbował powiedzieć jej to coś, patrząc prosto w twarz. Nadeszła odpowiednia chwila. Zanim jednak się odezwał, zerknął jeszcze na nogi, które mogły zdradzać oznaki włóczenia. Miała brudne rajstopy, może ze smaru, niedoprane z innych niewesołych spotkań z oprawcami, a dziury chciały przykryć niejedną ranę. Buty też były u kresu wytrzymałości, ale żeby ona na rowerze?

– Wszchemogący napoił mnie wszelką goryczą. Mimo to udowodniam sobie, że nie jestem Marą. Nie chcę więcej nią być. Widzisz, jadę na rowerze bez gwiazdy Dawida. Powiedziałam sobie, że choćbym miała pchać ten pojazd, to dojdę do bunkra i scentruję łby tym Niemcom. W końcu trzeba gdzieś dojechać, dojsć do kresu, zakreślić przeszłość.

Ona nadal o tym rowerze. Zanim straci świadomość, muszę jej powiedzieć. – Ponaglił sam siebie młodzieniec. – Według jej życzenia, aby odtąd nie była Marą!

Powłózione nogi, zbite losy, posiniaczone serce, a jeszcze

mają siłę ogłaszać zwycięstwo. Biało-niebieski rower dojechał do miejsca, z którego spodziewała się ujrzeć swoją przyszłą ojczyznę. Skoro odważyła się na niego wsiąść, to musiała dojechać czy dojść do celu. Wyobraziła sobie, że niesie sztandar w tych dwóch niebiańskich kolorach. Tymczasem on jej nie wierzy.

On zaś wstał, poprawił mundur, chrząknął tak, żeby dać znać, że oto wygłosi coś doniosłego. Ten rodzaj ciszy rozbroił nerwy wszystkich. Położył wyciągnięty ze spodni przedmiot na jej podkurczone stopy i patrząc mniej więcej w kierunku zebranych w piwnicy, a więcej na nią, otworzył go.

W miejscu, gdzie zasuwali kafle piecowe pojawiła się wielka wyrwa, mur runął, a bunkier zalał się ogniem z karabinu maszynowego. Ta wepchnięta jasność w połączeniu ze światłością obecnych zapowiadała coś strasznie oczywistego. Definitywny bój nad boje, finalny ból nad bóle, zakończenie nad ostatecznym rozwiązaniem. Kwestii żydowskiej.



ROZDZIAŁ I

Sierpień 2013 r.

– Głośno jak na wojnie!

Najszybciej jak potrafił wstał z wygodnego siedziska i zaczął mocować się z ramą okna. Głosy dobiegające spod Zamku Będzińskiego irytowały go. Jeszcze wczoraj miasto obchodziło żałobę, a dziś jak w wesołym miasteczku. Któryś raz z kolei podniósł dłonie, by uporać się z przekręceniem klamki przy górnej szybie i zamknąć lufcik. Dłonie zniszczone jak ogrodnicze grabie, które latami składają na kupę niechciane liście, były jednak bardzo słabe. Za słabe, by po dźwiganiu i kumulacji tyłu jesieni, jeszcze zmagać się z głośnym oporem powietrza.

Te zaś nieproszone wpadało do pokoju i odbijało echo tak wrzaskliwie, że starzec, nie mając więcej energii, dał za wygraną. Starcze grabie opadły na parapet, trącając nieumyślnie żelazną figurkę, która potoczyła się blisko fotela. O nie, wcale nie miał zamiaru jej podnosić! Napad gniewu przybrał następną, tym razem dziecinną formę.

Dzikim ruchem przytknął sobie uszy. Żeby nie być śmiesznym sam przed sobą i posądzonym o dziecinadę, na razie stanął na baczność jakby w szeregu. Stał tak chwilę, a potem zrobił ruch, który oznaczał „spocznij”. Można było sądzić, że się wreszcie opamiętał, jednakże ponownie instynkty wspomnień wzięły górę. Tupał nogami w nierówną

podłogę tak mocno, że figurka poturlała się pod fotel. Obserwując go, można było zawyrokować, że tupał także myślami, za to z taką mocą, że aż dziw brał, że wcześniej nie poradził sobie ze zwykłym oknem.

– Nie chcę, nie chcę pamiętać! Pamięć jest żałosna. My się nad nią litujemy, a ona ma nas gdzieś.

W zaprzestaniu pomogło mu s.o.s spod fotela. Potulnie lub w przekorze do wcześniejszej obietnicy, jednak sięgnął po figurkę. Zadowolony, że wcale nie robi się jak dziecko na starość, usadowił się z grubym skoroszytem i zaczął czytać z powagą, by uprzytomnić sobie to, co zapisał w rejestrze zdarzeń przed wyjazdem:

„Tam, na dzisiejszym Będzinie, będę kończył pamiętnik Rzeciego, czytaj Szmidta. Kto by tam zresztą chciał czytać wypociny starca, który nie stracił serca dla kraju i miasta? Tego, który zapisał dla potomnych szaleństwo dni, których piany nie widzieli i nie potrafią sobie uzmysłwić. Trochę jak schizofrenik, trochę jak chory na serce, z długopisem, który encefalogramem notuje zaburzenia, mocniejsze rytmy, komory uderzeń, chwile bezdechu, by w końcu sam dla siebie wydać diagnozę i wypisać receptę. Chory nie przestrzega zaleceń lekarza. Forsuje pamięć. Wraca do przykrych chwil nazywanych w tym zeszycie «Retrospekcjami będzińskimi». Leczenie ponowne to odstawienie gorzkich pigułek. Zaleca się zmianę otoczenia.”

– No, Elimelechu. Posłuchałeś lekarza – mówił sam do siebie jak dziecko podczas zabawy. Jednak ta zabawa była śmiertelnie poważna.

Starzy ludzie lubią czasem sami się pochwalić, gdy nikt inny tego nie robi. Prawie wcale nie usłyszał własnego kom-

plementu, bo z powodu hałasu znów zatkał uszy. Dostrzegł, że okno nie tylko nie było domknięte, ale jemu właśnie na złość otworzyło się całkowicie do wewnątrz pokoju w starej będzińskiej kamienicy.

Kiedys to nawet lubił stawać w oknie, opierać się o parapet i wystawiać głowę na drogę, którą gnał Bolek Kataryniarz. Przybywał głównie co niedzielę do miasta i fajny był z niego gość. Tamte piosenki Ordonki miały swój szyk, a nie te pogwizdywania ze sceny na Wzgórzu Zamkowym. Ludzie zrzucali monety, które wtórowały rytmem do regularnego kręcenia korbką, a Bolek darł się wniebogłosy, że kolejny urywek może być z dedykacją.

Skoro to głupie, nieposłuszne okno nie chciało się zamknąć, a nawet otworzyło swoje podwoje, to zostawiając gniew, na przykład na kartach „Retrospekcji Będzińskich”, uznał, że należy wyjrzeć i poprzyglądać się tej całej współczesnej wrzawie.

Przed Zamkiem stała scena. Chyba grali jakieś przyśpiewki irlandzkie. Zespół tańczył, przytupując końcami figlarnych butów, a sukienki wirowały lekko jak skrzydła ważki. Oparł grabie mocniej o parapet.

Z drugiej strony stała karuzela. Wiatr owijał świstem roześmiane usta dzieci. Rodzice fotografowali swoje pociechy. Jeden chłopiec kręcił zaciekle korbką plastikowej katarynki, ale ta nie grała, bo wyczerpały się baterie. Sponsorzy nosili firmowe chorągiewki, a pracownicy miejscowych instytucji przypinali opaski z logo „Będzin górą”. W kącie tuż pod oknem kamienicy, nie rzucając się w oczy z obawy przed strażnikami miejskimi, stała pani z małymi szczeniaczkami.

„Oddam w dobre ręce” – najpewniej głosila kartka, a małe psiaki rozlażyły się na wszystkie strony, skomląc i przymilając się do głaskających. Niespodziewanie z tej uroczej chwili wyrwała go chęć ponownego przytkania uszu i narastający gniew na okno, którego nijak nie da się zamknąć.

– Farsa życia terażniejszego. Stary dom, a nowe okna, i to w dodatku takie, dla których użytkowania trzeba znać dokładnie instrukcję obsługi. Żeby bez naszej woli powietrze wbijało się do środka, bo nie ma siły go zatrzymać!

Chciał poskarżyć się o tym w kalendarzu, ale zatkane uszy przepuszczały ciągle głośną imprezę, tak iż nie mógł się skupić. Bolek Kataryniarz nie kręcił już korbką, bo nikt w Będzinie nie miał ochoty, czasu, a przede wszystkim pieniędzy go słuchać. Za to w getcie dało się słyszeć delikatne pociągnięcia smyczka wiolonczeli, a za nią schowana i podobnie kształtna, choć nieco już wychudzona, Hanna.

– Tańczyć mówię, tańczyć! I ma się wam podobać na balu z okazji urodzin Führera. – Przenikliwymi oczami wodził po strzępach ludzkiej egzystencji strażnik, by wśród ochłapów mięsa ludzkiego znaleźć jakąś świnię do wyrżnięcia. – A ty nie lubisz zabawy? Widocznie wolisz inne rozrywki? Dobrze, przejedziesz się karuzelą.

Świst obijanych policzków wzmagął się w huraganie nienawiści oprawcy i przechodził barowo niżej. Jak krwawe, okrężne tornado puścił lej i szalał przez kilka złowrogich minut. Karuzela zatrzymała się.

– Poplamieś opaskę żydowską. Będziesz ją musiał wyczyścić. Wiesz, co grozi za brudną opaskę? – Nie otrzymując odpowiedzi od właśnie zmarłego, dalej stawiał pytania do jeszcze żywych.

– Widzę, że urodziny Führera nie wywołują aplauzu. Nie lubisz radować się muzyką znajomej wiolonczelistki? A może ona źle gra? Dobrze więc, nie będzie grała. Ma całkiem niezłą figurę. Pójdzie do kasyna szeptać kołysanki komendantom – zawyrokowawszy, kopnął w instrument, a potem w solistkę. Posiniaczony strachem dziewięciolatek zawołał:

– Mamo, graj! Proszę, graj! Nie zabierajcie mojej mamy!

– Oddamy cię w dobre, troskliwe ręce macochy. Plemię źmijowe, bękarty. Niemcy chciały wam matkować, a wy co? A ty pobawisz się z psami zanim Mutter wróci. – Czekał wyraźnie na jakiś sprzeciw, ale go nie było, więc gwizdnął.

Dorodny wilczur rzucił się na chłopca. Gdyby był tu Nochem, może zastawiłby go ciałem, jak wtedy, gdy dziewięciolatek kradł nieświeżą brukiew. Kiedy dziecko nie miało już siły, matka wyrwała się ze smyczy strażnika i zaskomlała w bólu. Znalazło się wielu głaskających. Kobieta od tej pory stała się suczą.

Zorientował się, że przytykanie uszu na niewiele już się zdaje. Krzyki, naśmiewania, szepty, piosenki, tupot chodaków mieszkają w nim i nie chciały się wyprowadzić.

– Potem żadnych retrospekcji więcej. Tutaj, w Izraelu, trzeba wreszcie otrząsnąć się, panie Szmidt. Po prostu wyjazd na definitywne pogrzebanie przeszłości. Na amen! Wróci pan z Polski w pełni sił psychicznych. Będzie jak z Marą, która na powrót przeistoczyła się w radosną Noemi.

Musiał przyznać, że nie był aż tak pokornym pacjentem, nie wytrzymał prowokacji wspomnień. Pchały się jak głosy przez okno do mieszkania.

W końcu trzasnął z całej siły oknem, a to nie chciało się

już narażać otwarciem na nowo. Potem jak gdyby nigdy nic, umieścił na parapecie jako strażnika figurkę Stracha na wróble, a sam zaczął czytać Świętą Księgę:

„Nie nazywajcie mnie Noemi, nazywajcie mnie Mara, gdyż Wszechmogący napoił mnie wielką goryczą”.

– Lekarz musi mieć rację. Ostatnia retrospekcja – mówiąc to, upewnił się, czy aby zgrabiałe dłonie nie będą musiały poprawić lufcika. – Dość krzyku i głosów z każdej strony!

ROZDZIAŁ II

Uroczystość obchodów 70. rocznicy zamknięcia getta będziańskiego zaczęła się punktualnie. Usiadł w pierwszym rzędzie na specjalne zaproszenie władz miasta. Tak naprawdę przybył dla niej. Nieobecnej. Było podniosłe. Smutno było przemawiającym, recytującym wiersze, oglądającym prezentację multimedialną stworzoną ze starych, archiwalnych zdjęć. 70 lat zamknięcia tego paskudnego miejsca obchodziło swoje urodziny. Na jubileuszowy odczyt widownia nie chciała klaskać. Mówiono wiele o kolumnach śmierci, prowadzących w niebyt torach, pociągach, głodzie, terrorze. O strachach, które żywiły się niepokojem. O strachach, które przeganiały niczym te stojące na polu, bezbronne ptaki, które choć na rzymsku chciały znaleźć ziarenko pokoju. Jeden z wierszy dotknął serca Elimelecha szczególnie:

70 lat zamknięcia getta będziańskiego

Widownia przepelniona.

Przyszła pani recytatorka, co o imionach

Dzieci więzionych w wagonach deklamowała.

Przyszędł pan, co o dziewczynce rudej na R.

Czy jakoś tak mówił, że niby Jezusa spotkała.

Oboje nadzy i głodni o bułkę wzrokiem błagali.

Nie mieli szans, widać było, że włosy miała zafarbowane.

*Przyszli ci, co nie doszli, nie dojechali,
W wagonie lub w Auschwitz umarli, na stacji
Śmierci w pośpiechu i warczeniu psów wysiadali.
Z niedopiętą szelką, z otwartą walizką
Dawidowego wygnańca.*

*Przyszli mieszkańcy grodu
Zawstydzeni historią z czerwonymi bąblami*

Przyszły media i artyści ze statywami.

*Przyszedeł chór
Co rytmicznie z drżącymi sercami straconych
W pieśniach oddychał.*

*Przyszedeł pan, co Będzin kocha
A w najprostszych obrazkach miłość udowadniał
I pamięć po żydowskich katorżnikach ocalił*

*Przyszła pani z dzieckiem i pieskiem
Dziecię Zegar Słoneczny na Modrzejowskiej oglądało
Pani stare fotografie mamusinej koleżanki Sary wyciągnęła
W sepii brązowym ornamencie zdjęcie niedolą zapłakało*

*Przyszła babcia, co guziki skórą u żydowskiego krawca obszywała
Przyszedeł pan, co pejsy zapuścił
Przyszedeł pan dziwny oniemiały z zadumy,
Niby szczęśliwy, bo rodowodem Słowianin.*

Pani, co wzdychała

Pani, co się popłakała

Pani, co szybko wyszła

Chłopak w okrągłutkiej, kolorowej, małej czapeczce

Dziad, co różaniec odmawiał

Przyszli obserwatorzy, ciekawscy, statyści!

I przyjechał w bydłym wagonie do Bendsburga on – Czas.

Odprawiał swoje 70-te urodziny.

Nie w galowym stroju

O Boże, odstroił się w pasiaku.

Stary był, ale wszystko dobrze pamiętał, jakby wczoraj.

Wpisał się do księgi pamiątkowej

I zatrzasnął ten haniebny spis dat.

Pożegnał gości i odszedł

Widownia przepelniona

na jego urodzinowy odczyt

nie biła braw...¹

¹Nagroda Główna dla Lidii Stefek za wiersz o tematyce zagłębiowskiej w XXV Zagłębiowskim Pegazie

– Żadnych dodatkowych wzruszeń, to już ostatnia retrospekcja – próbował powtarzać słowa lekarza.

Łkając w środku, nie wiedział, czy aby rada lekarza zadziała. Przecież nie ma tej cholernej siły w grabiach, by zamknąć lufcik. Zza kolumny wyglądały na Elima zapadłe oczy Abrama, on wcale nie miał szans na bułkę. Na torach widział pusty kubek bez wody, w bydlęcym wagonie przyklejoną do blachy głowę matki. Podobno już tam zasnęła na wieki bez poduszki. Raz jeszcze usłyszał jak w brzuchu może burczeć z głodu i jak donośne głosy mają ci z pełnymi jelitami. Hałasowali tak przeraźliwie jak wówczas, gdyby powieszono na ramionach stracha na wróble zardzewiałe puszki, a dąłby silny wiatr. Ktoś z kordonu porzucił tekturową katarynkę. Na dzisiejszej prezentacji starych i nowych fotografii Będzina brakowało mu radosnych emocji, które wyzwalały się w ludziach, kiedy Bolek grał.

– Noemi, położyłem kamyczek na pomniku przy Placu Getta Będzińskiego. Mamo, nie jestem grafomanem – bardzo krótkie, dość osobiste pożegnanie zadedykował najważniejszym kobietom w swoim życiu. Nie wiedział przy tym, czy większy ból sprawiało mu wspomnienie ukochanej czy rodzicielki. Tą pierwszą zostawił pod czyjąś pieczęą, natomiast mateczka została sama.

Ilekcroć dotykał powieści wydawnictwa Gebethner i Wolff, ciemniało mu w oczach na wspomnienie słów matki i spacerów Noemi nad Czarną Przemszą. Choroba powrotu do retrospekcji dotyczyła również tejsze książki. Egzemplarz *Lalki* oprawiony w skórę od Zajdlera przedzierał się w miejscach, gdzie następowały rozdziały przypisane pamiętnikom Rzec-

kiego. I co z tego, że nie został sławnym dziennikarzem czy pisarzem, skoro i tak pisał, tyle że dla swojej satysfakcji. Z miłością, o stanie rzeczy, miast, państw. Zagubiony w piórze romantyk. A może z przekory by nie być podobnym do Wokulskiego, odrzuconym przez panią z dobrego domu, wolał zostać Rzeckim. Treść książki musiał prawie znać na pamięć, bo skoro pani z dobrego domu i fircyk z teatru rozmawiali o niej, to należało być w temacie. Gdyby pozwolili mu uczestniczyć w dyskusji, to trzeba było być przygotowanym, a nie straszyc niewiedzą.

– Mamo, żeby chociaż ludzie rozczulili się nad niedolą Wokulskiego zamiast płakać nad straconym rublem. Gdyby to Elim miał dokończyć powieść, uczyniłby Stanisława bardziej szczęśliwym. – Mateczka dziwiła się Elimowej nieznamości życia i jego prawideł, ale też zbytnio nie moralizowała. – Nie jest trudno wycisnąć łzy z czytelnika. Trudniej jest sprawić, żeby ludzie czytając to, zamieniali owe łzy w perły. Jeśli trzeba pisać, a masz zamiar to robić, to tylko tak, żeby z pospolitych literek błyszcząły klejnoty.

Po uroczystości poszedł do kamienicy, którą na kilka dni jako gościowi specjalnemu, wynajęto bezpłatnie. Nie chciał mieszkać w hotelu na powojennym osiedlu. Z okien pragnął widzieć miejsca bliskie zburzonej synagodze. Te, które pierwsze oznajmiły, że na biało-niebieskim niebie zajdą ogniste chmury. Miał życzenie po raz ostatni rozprawić się z echem wydarzeń, które zmieniły Noemi w Marę, a jego w bezdzietnego, trochę zdziecinniałego kawalera.

Otworzył kalendarz Szmida. Pomimo, iż był dopiero sierpień, zostało niewiele pustych stron. Tylko kilka na uczczenie

pamięci po zmarłych zamordowanych przez Trzecią Rzeszę. Kiedy kładł kamyczek przywieziony z Hajfy na symbolicznej mogile, ten miał się stać kamieniem węgielnym w sprawie zostawienia przeszłości. Jeszcze wertując wcześniejsze kartki, upewniał się, czy zastosował się do rad literackich matki. Kończył historię, którą jak garbus nosił przez przeszło 70 lat. Po kamyczku, który położył dla pamięci Noemi, zostało tylko puzdreczko. Bardzo szykowne, z wygrawerowanym nazwiskiem rodzinnym. Kiedyś były w nim rzadkie perły...

